

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SZTUCE I KULTURZE

ROK I WIELKOPOLSKA GRUDZIEŃ 1931 NR. 3

Wydawca: ANDRZEJ PRĄDZYŃSKI Redaktor: MARJAN TURWID

LITERATURA FAKTU

Dzisiejsze upodobanie literackie — Mussolini i... popychacz karuzeli — Życiorys chłopa wielkopolskiego — Sztuka a dążenie do „prawdy życiowej" — Zmienność popularności autorów

W słabym popycie na książkę i małej konsumpcji literatury wogóle, można jednak w dzisiejszych czasach wyczuć pewne zainteresowanie się inteligentniejszej publiczności temi zjawiskami wydawniczemi, które chciałoby się nazwać mianem literatury faktu, prawdy życiowej. Czyta się dziś chętnie — obok wiecznie świeżej pornografji, podanej czyto w dawkach kokainowych czy w kielichu szampańskim, w nędznej czy nęcącej szacie — różne życiorysy, bio czy autobiografje, pamiętniki itp.

Ileż ich się namnożyło w ostatniej dobie! Jakaż skala ludzi i pozycyj społecznych! Od Mussoliniego, Focha, Clemenceau'a poprzez Lenina, Trockiego do „najtrywjalniejszych" nizin społecznych, do przedstawicieli anonimowej masy robotniczej i popychaczy karuzeli w stylu „osoby" Jakóba Wojciechowskiego z ziemi wielkopolskiej.

I jego życiorys, choć po chłopsku napisany, tandetnie wydany i jeszcze gorzej do druku opracowany, zrobił wrażenie, mimo, że lektura tej treści i takich rozmiarów, dużej dozy cierpliwości wymaga.

Wojciechowski, chłop surowy, ale ambitny, nieuczony, lecz inteligentny i zdolny, wyrosły na średniourodzajnej niwie Nowca pod Dolskiem, — niby drugi Kasprowicz — wziął literatów, trafił do uczuć i smaku, ich i publiczności. A przecież książka jego nastraja wcale ponuro, działa przygnębiająco, sądzi ostro i boleśnie! Ludzi — czytaj chłopa i pana — rozdzieliły przepaścią wiekowe przesądy, pomnika hańby godne, robotnik szukać musiał chleba, dachu i strawy duchowej, i znajdował ją — o zgrozo! na emigracji, w tym wypadku w Niemczech! Swoi nim pomiatali, a obcy „przygarniali" za „drobną" cenę: „zmiany" nazwiska i „posłuszeństwo".



Jerzy Rupniewski Bydgoszcz

Na szczęście ten rozdzierający krzyk rozpaczy stanowi już dziś tylko dokument, epizod z czasów zaborczych.

I dalej. Erotyczne momenty w tym pamiętniku wynurzeń, pełne szczerości i bezczelnej wprost prawdy, jakże żywo przywołują napamięć rozgłośne dziś powieści Pitigrillego, różne „kokainy" z sarkastycznemi dawkami piołunu prawdy, często potwornej, nieprawdopodobnej, ale prawdy życiowej.

Tak jest i — trudno niejednej „hipokryzji" zaprzeczyć!

Coś podobnego, co w literaturze dzisiejszej, konstatujemy i w sztuce, zwłaszcza w muzyce. I tu dążność i upodobanie w programowości, wyraźnym rytmie, zdecydowanym motywie, „logicznej" harmonji, dążność do pojęcia rozumem, nie wyczucia duszą, upodobanie w jasności.

To samo w nauce i krytyce literackiej. Dawno już zarzucono niedopowiedzenie romantyczne, mrzonki metafizyczne, a podchodzi się już ze „szkiełkiem" pod niezachwiane — zdało się — dogmaty społeczne, potrjotyczne, religijne itd.

Już dawniej „zrewidowano" w krytyce barok i Norwida, później nastąpiły bolesne rewizje Kościuszki, dziś bije „bojowy" Boy na alarm z powodu Mickiewicza.

Przewrót na całej linji, nawet... w ustawach karnych i kodeksach małżeńskich, szukanie nowych dróg, ujmowanie nowego życia — wszystko dla tego samego celu: dla prawdy życiowej! Precz

z fałszem i obłudą, precz z „bronzownictwem"! — oto hasło dnia.

Przedstworzeniowy chaos, przeorywanie zleżałych, wiekiem wytartych, zdogmatyzowanych pojęć, niewiara i podejrzliwość w stosunku do przeszłości — to częste cechy dzisiejszych poczynań literackich i krytycznych.

Niewątpliwie wegetujemy dziś w dobie wybitnie przejściowej, co szuka nowych kryterjów, nowych sprawdzianów prawdy i fałszu, szczerości i obłudy.

Może i to, co znajdziemy okaże się niebawem względne i sekcji naszych pojęć nie wytrzymamy.

Nic tedy dziwnego, że w takiej fazie zamętu myśli i ducha, pogłębionego jeszcze zamętem ekonomicznym, literatura i czytelnik lgną do zjawiska faktu, prawdy rzeczywistej, chociażby jeno zręcznie zakapturzonej, bo czyżby i za pamiętnik najbardziej osobisty gwarantować można? Ludzie się łudzą, lecz to wystarczy, bo właśnie szczęście polega w dużej mierze na złudzeniu.

Średniowiecze łudziło kultem mistyki, renesans podkreślał piękno ziemi i ciała, barok zwrócił uwagę na formę, neoklasycyzm na rozum, romantyzm na serce, pozytywizm chciał człowieka zrobić panem świata, modernizm wydał na świat właśnie dzisiejsze dziecko: realizm objektywny. Wszyscy się łudzili, że wszystko odkryli, aż zapragnęli czegoś nowego, co miało być „rzetelniejszą" prawdą. I prawdy... znowu nie znaleźli.

Faktem wszakże pozostanie, że sztuka tworzy sobie zawsze nowe światy, doskonalsze od rzeczywistego. Każdy twórca jest w tym sensie pesymistą.

Jeżeli dzisiejsza literatura grawituje ku faktom, oczywiście t. zw. literackim, czyli często urojonym ku prawdzie, to jest to najlepszym dowodem, że w dzisiejszym świecie właśnie tej prawdy zabrakło. Poczciwy człowiek, którego dusza jest stworzona na obraz i podobieństwo Sztuki, sądząc, że w niej znajdzie odbicie swych własnych cierpień i bólów, przygarnia ją do siebie i mniema, że nareszcie znalazł prawdę i szczęście. —

Także popularność autorów dziś szybko się zmienia. Kto lub co jest dziś właściwie wybitnie popularnem, jak dawniej Scott, Byron — Werter czy Heloiza, Dumas czy Sienkiewicz? Remarque zabłysnął jak meteor i przeszedł... w stan spoczynku. Dlaczego? Bo w drugiej powieści zaczął się powtarzać, temat wałkował i się przeliczył z gustem konsumentów. Trzeciej takiej powieści niktby już nie wziął do ręki. To samo grozi u nas Boyowi. Kossak - Szczucką zachwyca się stara generacja, młodzi o niej szybko zapomną. Żeromskiego lubią dla jego odwagi ogólnej, której dziś ludziom brak. Kasprowicz — czcigodny dla nas — pozostanie w swych najcelniejszych utworach dla polskich filologów.

Zmienność, nowość, sensacja — niezwykłość, prymitywizm lub ekscentryzm — wszystko pod maską prawdy, faktu życiowego — tematy najrozmaitsze i najbanalniejsze, byle nowe „niebywałe", nęcące, drażniące — „szlagierowe" — to woda na młyn dzisiejszych upodobań „literackich".

A. Szyperski.

NINA MAGIEROWA:

KOCHAM CIĘ WIELKOPOLSKO...

Kocham cię Wielkopolsko, spichrzu zdrowego ziarna,
Krynico czystych serc w miłości Polski stężałych;
Kocham cię, piasku pełna, torfowisk ziemio czarna
I trud twych rodnych pól i ciszę dymów twych białych.

Kocham wygodę twych dróg, aleje drzew na straży,
Niedawne bogactwo chat, gdzie bieda dzisiaj gości,
Kamienną świątyń twych powagę i glorję płynącą od ołtarzy
I wstęgę Warty rzuconą na przełaj twych włości.

Kocham też odrębność twoją pełną dziwnej treści
I za to, żeś taka schludna, taka gospodarna...
Kocham zaciętość ust milczących aż do boleści, —
Kocham cię Wielkopolsko, spichrzu zdrowego ziarna.

BRONISŁAW SZCZEBRZYC:

BENEDICITE...

(Z cyklu: „Brewiarzowe modły" — w hołdzie X. prał. Żychlińskiemu).

Boże lazury błogosławcie Panu!
Cudną kopułą niebieskiego Piękna,
Modrym błękitem rozjaśnionych warstwic
Dzierżganych złotem — błogosławcie Pana!

Oczy niewinne błogosławcie Pana
Czystszem nad śniegi, z toni szafirowej
Spojrzeniem lilji w rumieńcach poranku
Rozkwitającej — uwielbiajcie Pana!

Uwielbiaj słońce złotowłose Pana,
Świetlistą kulą wydzwaniaj Mu pieśni.
Pękiem promieni biegnij do nóg Panu
I drogę krzyża w światłach mu rozwieśnij!

Błogosław ludzkie, ciepłe serce Pana!
Hymn mu ofiarny śpiewaj we krwi rytmie,
W cichej miłości spalaj się dla Pana,
Jak zapach mirry wznoś się Doń, — do nieba!

Uwielbiaj swego falo modra Pana,
W szumach wieczornych wycałuj Mu stopy
Gdy pójdzie po tobie — uwielbij Go falo!

Srebrami śniegu, różami grające
Podczas zachodów, o góry wysokie,
Wirchy dumnemi błogosławcie Panu!

I ty radosna, w słońcu roześmiana
Stubarwna tęczo na niebios kopule
Jak triumf błyszcząca — pobłogosław Pana!

Upojna wiosno woniami pachnąca,
Przeczystej więzi rozkwitłej akacji
Miluchnym czarem — ubłogosław Pana!

I ty jesieni srebrami żałobna,
Tęsknotą — smętkiem kładąca się w serca,
Żałosną pieśnią spadających liści,
W dymach pastuszych — ubłogosław Pana!

Bólu zaklęty w skalnej serca grocie
Źródłem płynący z myśli nieziszczonych,
Żalu za czyny jako szkarłat krwawe
W męczeństwa łunie — uwielbijcie Pana!

Gród Lecha.

MARJAN TURWID:

CANALLETTO BYDGOSZCZY

Kiedym się z tobą poznawał — — miasto kanałów i śluz, dobiegło mnie kilkakrotnie natrętne pytanie: — — a zna pan już Wenecję bydgoską?

Irytujące pytanie, że też my wciąż jeszcze musimy być „pawiem i papugą" innych. Dlatego tylko nam Kraków miły, boć to przecież „Ateny" polskie. Chlubimy się Warszawą, gdyż ją czasem łaskawie nazywają cudzoziemcy Paryżem północy; — i tak możnaby wyliczać dalej i dalej, by dojść aż do — Bydgoszczy, którą — tam gdzie jest banalna, sztywna i bez wyrazu — nazywają: „Małym Berlinem", a która tam gdzie jej swoisty, odrębny ujawnia się czar i gdzie jest naprawdę piękna, — tam awansuje do godności — aż — „Wenecji".



Jerzy Rupniewski „Wenecja" Bydgoska

Czemu się tak dzieje, że ciągle oglądamy się na obcych, że od wieków całych z takim bezbrzeżnym brakiem krytycyzmu uprawiamy małpiarstwo; że entuzjazmujemy się pierwszym lepszym idjotyzmem, byleby miał zagraniczną markę? Na jakąż to cierpimy nieustannie wadę wzrokową, że patrząc na swoje, nie umiemy wartości dostrzec, istoty rzeczy „zobaczyć"?

Na szczęście, nie wszyscy Polacy chorują na ten nasz typowy daltonizm. Były i są wyjątki. Pozwólcie, że wam jeden zaprezentuję:

Mój „wyjątek" jest sporej tuszy, swą sylwetę znaną Bydgoszczy obnosi po wszystkich jej zakątkach, a wieczorem urzęduje stale w swej zacisznej pracowni malarskiej w Klubie Polskim. Za dnia, przeważnie go tam niema i nikt nie zdoła objaśnić gdzie jest. Pewnie — gdzieś za siódmą śluzą albo za siódmym kanałem razem ze swą nieodstępną sztalugą i pudełkiem akwarelowych farb. Maluje i maluje. Od wielu lat. Zawsze mniejwięcej to samo, to znaczy — Bydgoszcz. Zdradzi ją czasem na kilka miesięcy, — to dla szmaragdów i seledynów morza polskiego, to z blaskami autentycznej Wenecji, ale — zawsze wraca, aby na nowo a zawsze inaczej malować bydgoskie kanały, urocze zakola Brdy, śluzy, statki, tratwy, berlinki, flisaków, łodzie i łuki mostów i skromne kładki i przeglądające się w zwierciadłach kanałów kościoły i kościółki bydgoskie.

Nic tedy dziwnego, że przed wyruszeniem na wielki połów najciekawszych fragmentów Bydgoszczy, postanowiłem dotrzeć przedewszystkiem do pracowni Jerzego Rupniewskiego, najwierniejszego malarza miasta kanałów i śluz. Wyrozumowałem sobie chytrze, że nikt lepiej tych fragmentów, zakątków i motywów nie wypatrzył dokładniej niż on, podobnie, jak dwieście z górą lat temu, nikt lepiej nie znał oblicza Wenecji od arcymistrza Antonia Canalletta, wiernego portrecisty miasta lagun.

Nie omyliłem się. Mistrz przyjął mnie serdecznie, a kiedym bąknął o mej sympatji do Bydgoszczy, wdzięcznym mnie uśmiechem i znakomitą, według własnych tajemniczych sposobów przygotowaną mokką uraczył, gościnnością swoją kłam zadając rozpowszechnianemu twierdzeniu, jakoby Bydgoszcz nazwę swą wzięła od legendarnego „bicia gości". Przecież nietylko mokką, choć świetną, uraczył mnie bydgoski Canalletto, ale w znacznie wartościowsze obdzielił mnie delicje. Jak prześliczny kolorowy film, przesunęła się przed memi oczami cała, niekończąca się serja bydgoskich motywów. A więc: fara, mała, uboga ale śliczna, podwójna, bo w lustrzanej powierzchni kanału odbita; a więc spichlerze stare, wprawdzie holenderskiego kroju, ale polskie, bo polską opłynięte Brdą; i zaułki sędziwe, krzywe, przygarbione, pochylone, nie nad uliczki zapomnianej ciszą, ale nad wciąż młodą, zieloną, szumiejącą śluzą. I tak dalej i tak dalej, kanały, drzewa, kępy, groble, mostki i zastawidła i wszystko co tylko Bydgoszcz ma charakterystycznego, typowego, swoistego i naprawdę pięknego. A namalowane to „wszystko" nietylko z miłością, ale z temperamentem, płynną, miękką i szeroką, aż za szeroką fakturą. „U Fałata pan się chyba uczył tak soczyście kłaść barwną plamę?", — przerywam oglądanie pytaniem...

„— Niestety nie. Wiem, od tego arcymajstra akwareli byłbym się najwięcej nauczył. Ale bo to człowiek od razu wie którędy jego właściwa droga prowadzi? Błąka się, czas traci,

---

Allan Kosko:

„PASTUSZKA"

Niebo się sennie nad polem kołysze,
Chociaż oddawna się we mgle wyspało,
Słońce ciągnie po sobie chmurę białą
I rozmazanym palcem słoty pisze.

Proste, soczyste szarych wiklin bicze
Ponad urwiskiem chylą się pomału,
W bajorze skisłem, w dole, u stóp wału
Pendzlują szybko jakieś bure kicze.

Pluchoty beznadziejnej tępe drżenia
Radzą szelestnie, jak bezszate wróżki
Na wieki wklęte w pokrętne korzenie.

Nagle, na samym środku wąskiej dróżki,
Staje dziewczynka bosa, witkiem łozy
Pędząc przed sobą dwie beczące kozy.

namęczy się, napsuje farb, zanim wylezie na swoją własną ścieżkę. Od warszawskiej szkoły sztuk pięknych zacząłem to swoje błądzenie. Lenz wtedy uczył, Trojanowski i Dunikowski, lecz, choć znakomite to były profesory, gnało mnie gdzieindziej. Więc — do Monachjum. Tam siedziałem „dwa lata...“

— „U kogo?“

„U prof. „Killera, w Kunstgewerbe-Schule — na rzeźbie“.

— „Co?“

„Tak! Alem się przecież zorjentował w końcu, żem na niewłaściwym torze, i — — uciekłem do Paryża. Zapisałem się do Akademji Juljenne. Uczył mnie Bachet, zawołany portrecista. Ale gdzie mnie tam „brał“ portret. Wałęsałem się po Paryżu i malowałem — Paryż.“

„Nareszcie!“

„O tak! Te paryskie pejzaże pomogły mi odnaleźć samego siebie.“

„A potem?“

— „Potem — trochę tu i trochę tam — —Włochy — Jugosławja, aż — wylądowałem na stałe w Bydgoszczy“.

— „A czemu właśnie w Bydgoszczy?“

— „Wiele złożyło się przyczyn. A między innemi może i ta, że przed laty, w okolicach tych siedziały moje pradziady, jako nakielskie Komesy. Dość, że osiadłem tu, zżyłem się przez te wszystkie lata z Bydgoszczą i maluję ją — — jak umiem...“

Zastanawiam się właśnie nad tem, nad wartością malarską prac Rupniewskiego. Wystawiał on wiele. W Zachęcie warszawskiej, w Krakowie w Poznaniu... Krytycy — to przesadzili się w pochwałach, to ganili — jak zresztą zawsze. Wiadomo — — niezbadane są wyroki krytyki. I nie o nie mi tutaj idzie. Jedynem bowiem kryterjum istotnem w sztuce, to rezultat przeżycia danego dzieła przez danego widza. Rezultat ten jest oczywiście tak różnorodny, jak różnorodne są organizacje psychiczne ludzi. I niełatwa to sprawa, zdać z niego uczciwie sprawę. Dla mnie — pejzaże Rupniewskiego są przekonywające. Nie wszystkie. Są takie, w których nonszalancja faktury demaskuje płytkość podejścia. Rupniewski zresztą nie usiłuje rozwiązywać problemów malarskich, nie experymentuje, nie interpretuje natury, on ją reprodukuje tylko. Jest to oczywiście ograniczenie plastycznych możliwości, ale — dzięki temu — unika Rupniewski tego bezdusznego a wciąż jeszcze modnego babrania się po omackach faktury. Jego zaś „reprodukcje“ nie są wcale szablonowe, banalne i nudne. Rupniewski ogląda naturę poprzez swój szczery malarski temperament i nie „odpisuje“ jej, ale ją z coraz większem zresztą zrozumieniem kompozycji z brawurą i zamaszystością w najważniejszych akcentach notuje. A tych „notat“ nie dokonuje Rupniewski na „zimno“. I na to jeszcze właśnie chciałbym zwrócić uwagę, o czem się dziś naogół zawsze zapomina, na ważność uczuciowego stosunku między malarzem a jego tematem. Rupniewski rozmiłowuje się w swoim temacie i te są jego najlepsze prace, w których swoje uczucie zdołał najdobitniej uplastycznić. Udało mu się to niejednokrotnie, zwłaszcza zaś, w jego pejzażach bydgoskich. Dwieście lat temu z okładem, kochał się mistrz Antonio Canalletto w swojej prześlicznej królowej Lagun. Dzięki talentowi z jakim mistrz Antonio zaklął swoją miłość w plastyczny kształt, wiemy dziś, jak wyglądała jego Wenecja i jak on ją kochał. Malarstwo Rupniewskiego niema nic wspólnego ze sztuką Canalletta poza tą jedną najważniejszą cechą: Rupniewski tak miłuje Bydgoszcz, jak Canalletto ukochał Wenecję. I jeśli o pięknie Wenecji mówią nam płótna Canalletta, to niemniej wymownie i przekonywająco o pięknie miasta chłodnej polskiej północy, miasta kanałów i śluz mówią i mówić zawsze będą akwarele Rupniewskiego.

Bydgoszcz.



Kazimierz Przerwa Tetmajer
znakomity poeta „Młodej Polski“ — obchodzi 45 rocznicę swojej pracy pisarskiej. Autor „Skalnego Podhala“, „Legendy Tatr“, świetnych poezyj — oraz powieści „Panna Mery“, „Romans Panny Opolskiej“ etc. od 10 lat już nie tworzy, gdyż wskutek silnego osłabienia wzroku nie wolno mu czytać ani pisać.

BRONISŁAW SZCZEBRZYC:

O TEM JAK MATKA ŚWIĘTEGO PIOTRA W PIEKLE OSTAŁA

(Z cyklu: „Wielkopolskie klechdy i podania“)

Niedaleko Bieniszewa — w lasach, które kiedyś ciągnęły się aż po same białe powidzkie jezioro, stoi jeszcze do dziś dnia stara, bardzo stara kapliczka leśna. Zbudowali tę kapliczkę przed wielu laty dwaj święci i chudzi jak gnaty zakonnicy, co nic nie pili i nic nie jadali a tylko raz na dzień jeno chlebem suchym i wodą a rybą święconą się pożywiali. Budowali oni tę świątyńkę całą kupę lat, a chleba i ryby im nie brakowało nigdy. Wieśniacy okoliczni bowiem przynosili im chleba za pazuchą dosyć, a co się tyczy ryby, — to ta była cudowna. Pływała ona sobie w studzience, która się znajdowała obok kapliczki. Kiedy zaś przychodziło południe jeden ze świętych zakonników wyjmował rybę z wody, ucinał jej głowę i puszczał samiuteńką na dno studzieńki. Z całym natomiast ogonem rybim szedł do drugiego mnicha, aby przygotować obiad. Tak się działo dnia drugiego, trzeciego, piątego i setnego, a za każdym razem ryba żywa i cała, bo cudownie odrośnięta pluskała się we wodzie studzienki i służyła bogobojnym braciom za pokarm. Zakonnicy wiedzieli, że był to cud boży, to też każdego grzechu pilnie się strzegli. — Aż razu pewnego, kiedy już bierwiona na dach ciosali, przejeżdżał przez las jakiś żyd. Pachciaż, to był handlarz czy coś takiego, dosyć, że miał ci ten parcha świńskie mięso. Nie wiedziały biedne mnichy, że to był sam djabeł.

— A on przystąpił do nich, zaśmierdział skąciś cebulą i zaczął się niby litować nad twardą dolą zakonników, że tak ciężko muszą pracować na chwałę bożą, a przytem tak kiepską strawą się pasą. Nakłaniał ich by wzięli się do jedzenia mięsa, bo to im więcej siły przysporzy i robota pójdzie raźniej. — Świątobliwe głodomory dały się skusić. Wzięli mięso od żyda, upietrasili pieczeń wspaniałą i zjedli ją całą. Poczem pokrzepieni, zabrali się znowu z nową siłą do pracy. — Gdy jednak na drugi dzień poszli do studzieńki, oniemieli z bojaźni. We wodzie już ryby nie było. Natomiast sam łeb rybi spoczywał na dnie studzienki. — Poznali swój błąd zakonnicy. Za pokutę suszyli trzy dni nic nie jedząc ani pijąc. Potem udali się w prośbę do Pana Boga i ryba znowu odrastać zaczęła,

a oni też kapliczkę wraz w te pędy wybudowali. — Zaczęło się zdobienie świątyńki leśnej. Jeden z tych zakonników świętych był jakimsi artystą, co figurki zgrabne z drewna wyczyniał. On to właśnie wyrytował w drzewie obraz jak to święty Piotr wyciągał swoją matkę z piekła. Obraz ten jeszcze do dziś dnia tam wisi. — Matczysko świętego Piotra było ponoć okropne ladaco. Często waliła kochanego, świętego Pietrka, gdy ten był mały, aż w uszach huczało. Za to więc, że była taka zła i niedobra wsadził ją dobry Pan Bóg do piekła, gdzie srodze jęczała. Jadaczkę miała okrutną, to też darła się w niebogłosy. I razu pewnego, kiedy święty Piotr otwierał swym złotym kluczem jakiejsi duszyczce wrota do raju, usłyszał szloch matki. Nuże więc leci w te pędy do Pana Jezusa i pocznie Go molestować, by mu pozwolił matkę wyciągnąć z piekła do nieba.' — „Ale jak tam wejdziesz, kiedy ci nie wolno?" — Kłopotał się Pan Jezus. — Święty Piotr nic nie odpowiedział, tylko skoczył po rozum do głowy i peda co na konopiach, które rosną w polskim raju wyciągnie swą matkę. Pan Jezus się na to zgodził i święty Piotr spuścił linę wielgachną do piekła po swoją matkę. Tam też ona zaraz jej się ucapiła i nuże szybko jechać w górę, ku niebu. Zobaczyły to inne duszyczki. Dalejże więc czepiać się długich nożysk matki Piotrowej, to też nie za długo cały sznur duszek uczepił się wzajemnie jej nóg i sunął za nią ku niebu. „Chciałyby psie narody za darmochę w placku niebieskim gęby nurzać!" — myśli sobie stara, a że była z temperamentu choleryczką więc złość ją straszna poniosła. Jak nie zacznie się otrząsać i nogami na wsze strony fajtać, aż duszyczki biedne jak dojrzałe śliwki lecieć poczęły w przepaść ognistą. Jedna tylko jeszcze duszka siedziała uczepiona mocno u łydek Piotrowej matki. Stara jeszcze raz się silnie zaparła i nogą fajtnęła, a tu nagle trrrach! — sznur konopny pękł nad nią z hukiem strasznym i matka Piotrowa wleciała aż po same uszy na samo dno piekła. — Zmartwiony święty Piotr poszedł na skargę do Pana Jezusa, a ten mu odpowiedział, że gdyby matka jego nie zazdrościła innym duszyczkom, toby i ona i wszystkie inne dusze razem dostały się do nieba. Ale że była zazdrosną i chciała się sama uratować, więc teraz musi cierpieć na wieki. — Otóż ten piękny obraz, jak matka świętego Piotra leci w piekielne otchłanie zdziałał mnich świątobliwy w leśnej świątyńce bieniszewskiej i po dziś dzień można go tam jeszcze oglądać. — — — — — — — — —

STANISŁAW HELSZTYŃSKI:

(Z cyklu: „Gniezno i Ziemia Gnieźnieńska")

KOŚCIÓŁ ŚW. KRZYŻA KAPLICĄ CMENTARNĄ

Wzgórze ponure śmierci podmywane falą,
co nosi w nazwie mgłę otchłani, strach, Bielidło;
mury nad głębią wznoszą się jak blade widmo,
którego okna, oczy trupa, mdło się palą.

Nagrobki, mauzolea, cichych domków ślepych,
w których spoczęły ciała, stoi wkoło tysiąc —
marmury, głaz, piaskowiec: śmiało mógłbyś przysiąc,
że tu się koncentruje miasta zmarłych przepych

klucz do kościoła można u grabarza zastać —
nie poszedłem po niego: lęk mnie zdjął tajemny,
gdyż noc zapadła prawie, mrok się szerzył ciemny,

groby mi w oczach jęły w ogrom się rozrastać,
uląkłem się tych trumien i tych ciał we wnętrzu —
ucieczką ratowałem z wzgórza się najprędszą.

FRESKI W PRESBITERJUM KOŚCIOŁA ŚW. JANA

Stulecia wasze są wam chlubą nad stan, freski,
podobnej wam absydy niema w tumach wielu:
jakiś się duch w zakonnym bracie rozanielił,
z katakumb przyszedł podmuch nań i wiew niebieski,

że wielobarwę włożył na mur bożogrobiec,
mur dbale układziony, z cegieł z prosta szorstkich:
tu świętych dał, tam znowu rysy lic przeorskich,
dzieje dni wieku ścianą może oko obiec.

Tu chodzić mi i siadać, ślęczeć, pod tynk wnikać,
wodzić wzrok w odpoczynku wkrąg okiennic — strzelnic,
temi małemi drzwiami mknie cień zakonnika,

z pod baldachimu książę na sklepienie patrzy,
opat mu w ucho szepce co gwiazd zodjak znaczy —
słucham i patrzę: widzę Polskę Czasu Dzielnic.

JULJAN STASIEWSKI:

POWIAT WRZESIŃSKI
POD WZGLĘDEM GEOGRAFICZNYM I PRZYRODNICZYM

III. WODY STOJĄCE I PŁYNĄCE

O ile powiat wrzesiński obfituje w wody płynące, o tyle mniej posiada wód stojących. Jest to objaw zupełnie normalny, jeżeli się zważy, że powierzchnia powiatu stanowi płaszczyznę pochyłą z przeciętnem nachyleniem 1,20 m na 1 km. Na takiej pochyłości nie może się utrzymać woda w stanie stojącym, chyba, że zachodzą wyjątkowe okoliczności.

Najbogatszą w stawy naturalne okolicą powiatu jest okolica Miłosławia. Mamy tam jeszcze dzisiaj sześć stawów, a przed kilkudziesięciu laty było ich znacznie więcej, uległy w międzyczasie w miarę podnoszenia się kultury rolnej osuszeniu, tak samo jak przed dwoma laty staw Szarówka nad drogą z Miłosławia do Rudek. Wszystkie te stawy Miłosławskie należy uważać jako ostatnie pozostałości po rozległem jeziorze, które kiedyś przed wiekami wypełniało całą dolinę Szyrwy.

W nie tak dawnej przeszłości posiadał nasz powiat rzeczywiście dość znaczne jezioro o długości przeszło 3 km pod Biechowem. Dopiero Komisja Kolonizacyjna, wykupiwszy w roku 1891 Biechowo i Osowo, obniżyła przez wybicie kanału do Listownicy poziom wody, zyskując przez to na przestrzeni przeszło 2 km teren pod pierwszorzędne łąki dla

kolonistów. Zmniejszone otyle jezioro istnieje do dzisiaj, jednakże wskutek bagnistych brzegów dotrzeć do niego trudno, tem więcej, że brzegi i tafla wody pełne są bujnej roślinności. Zanika więc jezioro w oczach naszych i zamienia się zwolna w bagno, a po upływie kilkuset lat, tam, gdzie dzisiaj grozi tajemnicza toń, paść się będą na łąkach zwierzęta i igrać swobodne dziatki.

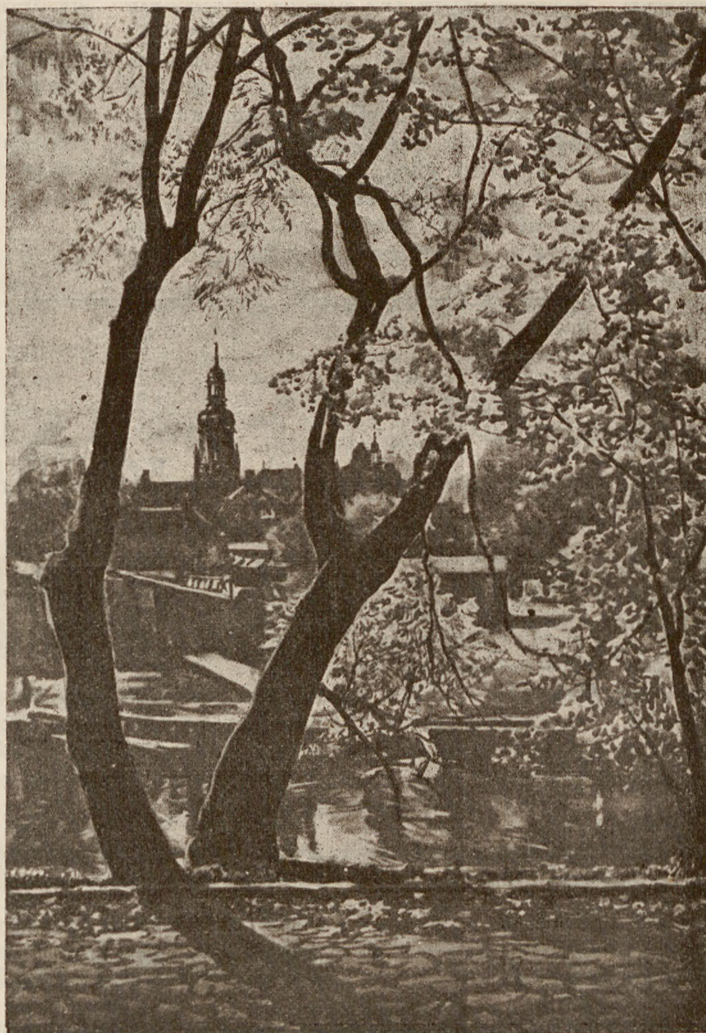
Jezioro biechowskie stanowiło w dalekiej przeszłości silny punkt oparcia ówczesnej ludności. W jeziorze natrafiono przed kilkudziesięciu laty na budowle nawodne, palowe (palafity), z epok przedhistorycznych[12]). Składały się one z wielkiej ilości pali, powbijanych prostopadle w dno jeziora a połączonych poprzecznem belkowaniem. Na takiem rusztowaniu, przykrytem podłogą z desek lub drążków, stawiano chaty z drzewa i trzciny. Do brzegu prowadził wąski pomost.

Prawdopodobnie z innej epoki pochodzi kopiec przedhistoryczny, usypany na jeziorzysku z nawiezionej ziemi, węgli drzewnych i kamieni. Kopiec spoczywa na ruszcie z grubych pni dębowych. Później, już w czasach historycznych, stanął na kopcu zamek kasztelański, kawałki starodawnej cegły, dotąd napotykane świadczą, że był murowany. W ziemi zaś w głębokości mniejwięcej 1 m znajdują się fundamenty olbrzymich rozmiarów[13]). Znani nam są kasztelani biechowscy od roku 1252 począwszy aż do rozbiorów.

Największą wodą płynącą powiatu jest Warta. Ponieważ zaś płynie przeważnie na samej granicy, powiat sam przepływa tylko na przestrzeni 7 km, co stanowi w jej biegu cząstkę zaledwie, uważamy dłuższe zatrzymywanie się przy niej za mniej pożądane. Rzeka Warta wstępuje do powiatu około 100 m poniżej ujścia Prosny a opuszcza powiat krótko po przyjęciu Lutynji. Prosna i Lutynja stanowią obok Obry, której ujście znajduje się około 200 km dalej na zachód, najważniejsze dopływy Warty z lewej strony. Aczkolwiek powiat wrzesiński posiada stosunkowo wiele wód płynących, to jednak poza niewielkiemi strumykami Łączną i Bierzwienną (Mikuszewską strugą) żadnego innego dopływu na terenie powiatu Warta nie przyjmuje. Wszystkie inne dopływy Warty z powiatu posiadają swe ujście poza jego granicami. Należą do nich bezpośrednio: Meszna, Pyzderska Struga, Wrześnica, a pośrednio: Szyrwa i Bardzianka (Mirusza).

IV. WRZEŚNICA

Jest ona wśród wymienionych dopływów najważniejszym, tak pod względem długości swego biegu, jakoteż obfitości wody. Znaną już była ojcu geografji Polski Janowi Długoszowi (ur. 1415, um. 1480), który w swem dziele łacińskiem: Orografja Regni Poloniae (tytuł ten brzmi po polsku: Opis Królestwa Polskiego pod względem krajoznawczym), stanowiącym wstęp do Dziejów Polski, Wrześnicę opisuje. Wymienia Wrześnicę wśród pięciu dopływów prawobocznych Warty i uważa ją za rzekę drugiego rzędu. Do rzek pierwszego rzędu zalicza Wartę, Wisłę, Odrę, Niemen i Dniestr. Wrześnicę nazywa Długosz Września (pisze Wrzesznya) tak jak ją wówczas nazywano. Powiada o niej, że powstaje na górze wsi Mnichowo (ex monte villae Mnichowo), uchodzi zaś do Warty koło Pietrzykowa (circa villam Pietrzykow).



Jerzy Rupniewski — Nad kanałem

Według Długosza należałoby źródła Wrześnicy szukać w okolicy Mnichowa około 5 km na południe-zachód od Gniezna. W rzeczywistości zaś znajduje się źródło Wrześnicy 3 km od rynku gnieźnieńskiego na północ-zachód przy szosie z Gniezna do Kłecka w gminie Żerniki. Jestto w prostej linji 5 km na północ od Mnichowa. Tak przedstawia się sprawa dzisiaj, przed 500 laty zaś za czasów Długosza było inaczej. Wypływ z miejsca, które dzisiaj uważać należy za źródło Wrześnicy, nie jest naturalny, lecz spowodowany przekopem na krótki dystans. Przed pół tysiącem lat przekopu prawdopodobnie jeszcze nie było i źródło Wrześnicy znajdowało się około pół km w kierunku południowym od dzisiejszego.

Najbliższa okolica na zachód od Gniezna wykazuje formy niezwykle charakterystyczne. Wśród pagórków, gęsto tam rozsiadłych, napotyka się co chwilę na małe, okrągławe zbiorowiska wody t. zw. oka lub, gdy z biegiem lat oka utraciły już swój zapas wody, na odpowiadające im bagna wzgl. łąki. W promieniu 4 km na zachód od Gniezna jest takich ok mokrych i wysychających 17. Oko, z którego bierze początek nasza Wrześnica, ma kształt podłużny, zbliżony do formy różnobocznego trójkąta, którego wierzchołek zwrócony ku południowi. Brzeg przeciwległy, północny, jest 32 m długi, wschodni cokolwiek krótszy a zachodni dłuższy, bo mierzący około 40 m. Z wierzchołka wypływa pasemko wody, nie szersze od dłoni dorosłego człowieka (autopsji dokonano w ciągu suchego lata), i z punktu bierze kierunek ku południowi. To pierwsze kroki naszej Wrześnicy. U brzegów oka północnego i wschodniego, stoją wierzby i iwy. Brzeg zachodni nieosłoniony drzewami, zato prawie połowa oka zarosła od tej strony zielskiem, wśród którego kołyszą się w powietrzu kępy szuwarów i prawie na 2 m wysokiego sitowia. Woda oka bezwidzialnego ruchu, wrzucony kamień każe się domyślać znacznej głębokości.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

[12]) E. Callier — Powiat Pyzderski w XVI. stuleciu. Poznań 1888, str. 242.

[13]) według opowiadań obecnego (1929) właściciela kopca p. Berendesa w Biechowie.

MARIA ANÉRI:

BŁAZENEK W TODZE

(Z cyklu: „Uboje na Boy'u")

Z jednego maleńkiego nieporozumienia śmieję się zawsze w kułak, ilekroć widzę przed sobą nowy tom bibljoteki Boya, a potem przeżeram wzrokiem coraz mniej liczne odgłosy prasy i krytyki na temat tego boyowskiego tomu powstałe. — „Oho!" — myślę sobie — nowy tom Boya, to napewno nowy tak zwany skandal dla ludzi poczciwie myślących, to dalszy, dobry i wesoły rozgardjasz na tematy „zmysłowe" lub beztematowe „słówka". Słowem zaczynam w powietrzu węszyć burzę!

W rzeczywistości jednak dzieje się wcale inaczej. Ludzie dzisiaj już tak bardzo otrzaskali się z temi klaunowskiemi brewerjami i arcypociesznemi „sztuczkami" literackiemi Boya, że jego, chociażby najbardziej zmysłowe „zmysły", — nie są już zdolne zadziwić ani tembardziej oburzyć nikogo. Nie znaczy to bynajmniej, by społeczeństwo polskie już tak dalece umysłowo spodlało i „znikczemniało w myślach swych", ażeby bezkrytycznie miało przyjmować i na praktyczną własność asymilować każde nowe „objawienie" Boya.

Nie! Bo i sam wpływ literatury dzisiejszej na współczesne życie jakże jest niewielki! Lecz ludzie czasów dzisiejszych są jednak dość za mądrzy, by brać na serjo za strawę duchową taką literaturę a raczej makulaturę, która może być wcale dobrem młótem dla wieprzów czy huliganów, ale nie dla ludzi, którzy jako tako mają wszystkie klepki całe w swoich mózgownicach.

To też nikt już dzisiaj Boya, — tego „nowego" Boya od „Kurkiew" i „wygiątw samiennych"; tego dzielnego i gorliwego obrońcy człowieczego „płciwa", rówieśnictwa (homoseksualizmu) i innych „wdzięczarstw myślosaminnych", — na serjo nie bierze! I nikt na serjo brać nie może!

Wielkopolska, a z nią i cała rozumnie myśląca Polska, z początku się trochę oburzała na te boyowskie „krzątania przedpłcenne" po literaturze, ale obecnie śmieje się razem zemną, bo wie, że przecież Boya na serjo brać nikt nie może. Że przecież człowiek ten na serjo nic nigdy (poza swą pracą literacko-naukową) nie pisał. Że Boy — to filut i błazenek, który ot! tak na hecę, ubrał się w doktorską togę płciwa (która notabene pachnie szantażem. Ale do tego tematu jeszcze powrócimy!) i lubi dobrych ludzi bawić tanim kosztem taniemi wycami. To też jeśliby wolno było wogóle mówić o dowcipie autorskim Boya, to na pierwszem miejscu trzebaby było uwzględnić ten dowcipny stosunek społeczeństwa do autora tak zwanych „Bronzowników", „Piekła kobiet" czy „Zmysłów".



Dr. Tadeusz Boy-Żeleński

I właśnie tutaj, na tem miejscu, gdy rozmyślam nad postawą społeczną tej skądinąd dowcipnej, groteskowej i miłobłazeńskiej (choć wcale nie stańczykowej!) figury p. Boya, — to radość moja sięga zenitu. Nie czasem, abym się radował ową grzeszną „Schadenfreude", boć mi przecież nigdy Boy nic złego nie uczynił. To też bynajmiej! Cieszę się poprostu radością z wysoka, po przyjacielsku, nawet, że tak powiem z miłosierdzia chrześcijańskiego, z tego drobnego napozór faktu, którego Boy dlatego, że jest „wielkim", nie widzi. Tym faktem drobnym, to poprostu „nabicie w fajkę", dokonane a raczej popełnione przez nasze społeczeństwo na takim spryciarzu i kutym lisie, — za jakiego to niby uchodził w naszych oczach Boy. Otóż społeczeństwo nasze tak dalece się oswoiło z wesołemi dowcipami Boya, że pozwala sobie coraz to częściej na to, by one przechodziły mimo uszu. Poprostu zaczyna ich nie słyszeć i nie słuchać. Tak jak w cyrku patrzy się dziś na Boya, na jego piękne fajerwerki „obnażalstwa", na te cudeńka zwinności intelektualnych i rozumowych koziołków, których forma jednakowoż też coraz mocniej parcieje (do tego miłego faktu także jeszcze powrócimy!), — ale bardzo już mało zwraca się uwagi na treść i sens tych bzdur i kruczek. „To dobre dla murzyńskich łbów" — zaczyna się mówić coraz to powszechniej. I tutaj tkwi sedno komedji! Wszyscy bowiem o tem i wiedzą i mówią i słyszą, — tylko jeden Boy nic o tem nie wie, nic nie widzi, nic nie słyszy. On jeden jeszcze sądzi, że słowa jego biorą jako wyrocznię, kładą na wagę złotą i zamieniają na czyny rodzący czyn. On jeden sądzi, że za nim stoi miljon. A tu tymczasem całą jego siłą i oparciem — to zakołtunione łby jakichś niedowarzonych gimnazjastów (znamy to dobrze, przecież każdy z nas był cielęciem kiedyś!), czy zwarjowane i onanizmem podbyczone a shisteryzowane babie grono, które się już dawno przed „bojem" i to nawet przed Tadeuszem Boyem opowiedziało za demobilizacją macic. A pozatem nikt. Notabene tych ostatnich zębem czasu nadwyrężonych dziewic także tak dużo w Polsce niema. Zresztą nie dojdą one nigdy do głosu, a gdyby go przypadkiem zabrać chciały to mogą gadać do swych... zdemobilizowanych czy wykastrowanych macic na łamach pana — boyowskich piśmidełek.

Istnieje więc piękny powód do śmiechu i to do śmiechu na całe gardło. Kiepskim psychologiem jesteś Boy'ku, błazenku miły i opowiadający sobie i nam „bojki". Najwidoczniej ostrza twego myślowego skalpelu coraz bardziej tępieją, zużyte w głębiach literatury myślosaminnej. Przyjdzie czas, jak zresztą na wszystko przychodzi, że i Boy'ka poprowadzim do „ubojka". Czas to matematyk, — on wszystko wyświeci co Boy'ek nakłamał. Ale wtedy panie Boyku, ty się już bronić mógł nie będziesz.

Poznań.

RECENZJE I OPINJE

pod redakcją prof. Alfonsa Szyperskiego

RÓD PORAJÓW RÓŻYCÓW

Szczególnie Wrześni i okolicy zwracamy uwagę na jedno z ostatnich dzieł ks. Kozierowskiego p. t. Ród Porajów Różyców, Kraków 1930. Ciekawa ta książka, formatu dużej ósemki, stanowi jedenasty tom Studjów nad pierwotnem rozsiedleniem rycerstwa wielkopolsk., monumentalnej pracy naszego winnogórskiego uczonego.

Trzeba bowiem Wrześnianom wiedzieć, że ich miasto jest starem siedliskiem tego rodu, którego przedstawicieli widzimy w średnich wiekach na ziemi Gnieźnieńskiej, Zbarskiej i Pałuckiej. Cały szereg wsi w okolicy Wrześni to także dawne posiadłości Porajów Różyców.

Na str. 22 wspomnianej pracy podaje autor tablicę genealogiczną Różyców wrzesińskich. Pierwszym znanym dziedzicem naszego miasta był Bodzęta (nie Bodząta), syn Stefana, w r. 1256 (nie 1246 jak mylnie tu i ówdzie w książce).

Porajów Różyców widzimy rozsianych, gęściej lub rzadziej w całej niemal Polsce. Siedzieli oni w Sieradzkiem, Łęczyckiem, w Małopolsce i na Mazowszu. Niepewni są na Śląsku, w Prusiech, na Podlasiu i na Podolu. Na Ruś Czerwoną napłynęli później. Na Litwie znamy Różyców pochodzenia litewskiego, przyjętych w Horodle do Porajów. Przecież i nasz wielki Mickiewicz miał w herbie Różę, i godłem Porajów się szczycił. Nie darmo zesłał deszcz róż w Dziadach cz. III., co jest niewątpliwą reminiscencją herbu.

Piąty rozdział poświęca ks. Kozierowski godłu herbowemu i klejnotowi Porajów. Na załączonej tablicy widzimy różne pieczęcie tego rodu. Herb nasz przedstawia różę białą w polu czerwonem. Miasto Września ma do dziś w herbie białą różę, również Fordon nad Wisłą. Nazwa Poraj może być imieniem osobowem lub nazwą miejscową, znaną np. w okolicy Magdeburga, dziś Parey. Wiadomo, że tam dawniej Słowianie mieszkali, lecz zostali grzecznie... ogniem i mieczem stamtąd wyproszeni. Ale nazwy sterczą jak grobowe świadki bolesnej prawdy dziejowej, nazwy słowiańskie! (I Berlin — o zgrozo — to ponoć nazwa słowiańska!) — Jako imię pospolite znaczy porej roślina z rodziny wrzosowatych.

Rozdział VI. mówi o znaczeniu i roli dziejowej Porajów. Ród to prawdziwie biskupi! Wydał cały szereg arcybiskupów i biskupów: krakowskich, gnieźnieńskich, lwowskich, poznańskich itd. Z tego rodu pochodził znany kronikarz polski, biskup krakowski błog. Wincenty Kadłubek w XIII. w.

„Skromniejszy był udział Różyców w życiu politycznem naszego narodu" — pisze autor.

Dodamy, że i późniejsza Września miała szczęście do duchownych. Tu rodzili się: arcybiskup Likowski, chluba miasta i Polski całej, kanonik Poturalski, długoletni proboszcz winnogórski, ksiądz prałat Stychel, z młodszych ks. prob. Zamysłowski, ks. Jarosz itd. Już w latach 1348—66 był biskupem krakowskim Poraita Bodzęta z Wrześni. — Wdzięczny to temat pracy dla któregoż z młodszych duchownych wrzesińskich: Duchowni z Wrześni! Tu podajemy tylko okruchy dziejów; nie jesteśmy historykiem kościelnym.

Trzy dobrze orjentujące mapy rozsiedlenia rodu Porajów-Różyców w Polsce uzupełniają wielce ciekawą monografję ks. Kozierowskiego.

STARE POGODKI GOROLSKIE ŁOD ŻYWCA

Skromny z wyglądu ten zbiorek góralskich opowiadań, opatrzony wstępnem rozważaniem samego autora o narzeczu podhalańskim wzbogaca nasz „śpichlerz języka" i równocześnie młodą naszą literaturę góralską.

W kilku krótkich a plastycznych obrazach w oryginalnej gwarze opowiedział autor życie ludu żywieckiego z dawnych, zamierzchłych czasów. Tak narzecze żywieckie, bogate wyrazami już ginącemi, a wyklętemi ze słownictwa literackiego, jak zwyczaje, wyobrażenia, zabobony i starodawną psychikę. Dziełko to upamiętniło i obroniło od zagłady, jaka grozi ze strony zalewu pobliskiego Sląska, żydowsko - niemieckiego wpływu fabryk z Bielska i Białej, a zwłaszcza od zmieniającego się w dzisiejszej dobie trybu tamtejszego życia.

Zasadniczym celem autora — jak sam w przedmowie wyznaje — było „wyszukanie ginących już dzisiaj zabytków wyrazownictwa, które są specyficzną cechą gwary ludu żywieckiego". O ile udało się autorowi te cenne zabytki odszukać, trudno narazie ocenić, ale można naocznie stwierdzić, że opowiadania płyną jakgdyby z żywych ust Żywczan, z których wyczuć można nie tylko oryginalność, ale dźwięczność i „rytm" specjalny gwary najstarszej — według przypuszczeń autora — z całego Podhala. Uwaga o „rytmie" mowy góralskiej jest nowością nadzwyczaj ciekawą, ale domaga się specjalnego rozwinięcia i opracowania! Chociaż opowiadania te nie dorównują pod względem artyzmu i genjalnej inwencji podobnym opowiadaniom Przerwy - Tetmajera „Na Skalnem Podhalu" — jednak przewyższają je tem, że oparte są na faktach rzeczywistych lub na ustnych podaniach ludu, a nie są czystemi tworami poetyckiej wyobraźni, co jest dominującym rysem „Skalnego Podhala".

„Stare pogodki gorolskie" stanowią jedną część zamierzonej na szerszą skalę pracy. Inne części — jak donosi przedmowa — poświęcone będą życiu juhasów i baców, opowiadaniom zbójnickiem, wydarzeniom z okresu wojny światowej, i świetnie się zapowiadającym opowieściom z czasów odzyskiwania niepodległości polskiej. W specjalnej rozprawie zamierza autor omówić „zwyczaje miejscowe, już zaginione, ginące i te, które jeszcze istnieją", a także obiecuje zająć się tamtejszą muzyką i pieśniarstwem. Plan i zadanie zaiste godne uznania i zachęty, tem większej, że twórca „Starych pogodek" w obawie, by w redakcji pleśń starości nie pokryła rękopisu odważył się je wydać własnym sumptem.

Ciekawy ten zbiorek winien zainteresować nie tylko lingwistów, ale — jak tego pragnie autor — winien zachęcić miłośników gór i hal do poznania i zbliżenia się do ludu i świata góralskiego. *A. T.*

Jan Aleksander Zaremba: Stare pogodki gorolskie łod Żywca: Zbier I. Żywiec 1931. Nakład autora. Skład gł.: R. Faruzel, Żywiec.

ODGŁOSY

W Dziale „Kultury i Sztuki" Kurjera Poznańskiego (Nr. 510) czytamy: ...„Krainą Wielkich Dolin" nazywa w słowie wstępnem Wielkopolskę redakcja „Wici", miesięcznika poświęconego sztuce i kulturze, a rozpoczynającego wychodzić we Wrześni. Wydawca jest tyle zasłużony dla naszego regjonu red. Andrzej Prądzyński, kieruje pismem młody art.-malarz p. M Turwid, również wrześnianin a wychow Krakowskiej. Akademji Sztuk Pięknych, piórem także się parający, jak o tem wiedzą czytelnicy Działu Kultury i Sztuki, w którym p. Turwid zamieszcza interesujące korespondencje o krakowskiem życiu artystycznem.

Treść nowego miesięcznika jest bogata i urozmaicona Do regjonu wrzesińskiego odnosi się praca p. Juljana Stasiewskiego „Powiat wrzesiński pod względem geogr. i przyr". Z artykułu p. Alfonsa Szyperskiego „Blaski i nędze Wrześni" dowiadujemy się ciekawych szczegółów o ekonom. i kultur. życiu regjonu... Zeszyt ma parę ilustracji, przez przerywają udatne wiersze, nie brak też artykułów treści ogólniejszej, pozaregjonalnej („Pesymizm kulturalny" p. Bronisława Szczebrzyca, sprawozdanie z pamiętnika ś. p. Tyca i in.)... Regjonalizmowi wielkopolskiemu przybywa organ, który może dobrze się zasłużyć...

X. Prof. M. Jernajczyk w 130 n-rze Orędownika Wrzesińskiego pisze: ...Jak widać z 2-go numeru, „Wici" idą wciąż naprzód, stale się ulepszają tak co do formy jak co do treści. Znać wielki rozmach i znaczną różnicę między numerem I-szym i II-gim... Przy porównaniu ze świeżemi pismami literackiemi jak „Gazeta Literacka", „Linja" czy „Gryf", — „Wici" wcale nie tracą na swej zewnętrznej szacie i wewnętrznej wartości... — Nowym wysiłkom na nowej i ważnej placówce „Szczęść Boże"!

Dziennik Bydgoski (nr. 277) pod nagłówkiem O kulturę i sztukę wielkopolską, — notuje: „Grupa najmłodszych literatów i artystów wielkopolskich, interesujących się sprawami regjonalnemi, zdobyła się na wysiłek twórczy i rozpoczęła wydawnictwo miesięcznika poświęconego sztuce i kulturze p tyt „Wici", którego drugi numer leży właśnie przed nami. Redaktor pisma p. Turwid daje ciekawy wywiad z bydgoskim lekarzem i malarzem w jednej osobie dr. Szmajem, jednym z niedobitków expresjonistycznego „Zdroju". Dwa sonety gnieźnieńskie Helsztyńskiego i wiersz T. Tałuny „O zmierzchu" — reprezentują poezje. Poważne zagadnienia związane z Wielkopolską rozpatrują pp. Stasiewski, Szczebrzyc i dr. L. Bochenek. Całość robi wrażenie ciekawego i pożytecznego wydawnictwa.

Odbito w Drukarni A. Prądzyńskiego, Września.
Cena: pojedyńczy numer 40 gr. Prenumerata z przesyłką: kwartalna 1,50, 1/2 roczna 3,00, roczna 6,00 zł. Ogłoszenia 1 mm 1-łamowy 20 gr.
Redakcja: Poznań Chwaliszewo 15/16 3p.pr., Bydgoszcz ul. T. Kościuszki 1.d.18 m.8, Września red. Oręd. Wrzes. Konto P. K. O. Poznań 200.057.
W Bydgoszczy nabyć można „Wici" w Księgarni p. Idzikowskiego oraz w Kiosku p. Stefana Mirowskiego Gdańska 32.